

**Julian Tuwim (1894-1953) poeta, satyryk,
tłumacz**

Julian Tuwim przyszedł na świat 13 września 1894 roku w Łodzi w żydowskiej rodzinie mieszczańskiej. W rodzinnym mieście ukończył gimnazjum, następnie studiował prawo i filozofię na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie studiów współpracował z pismem "Pro arte et studio" oraz kabaretem "Pod Pikadorem". Tuwim był współzałożycielem grupy poetyckiej "Skamander".

Julian Tuwim zadebiutował w 1913 roku wierszem "Prośba" opublikowanym w "Kurierze Warszawskim".

Okres dwudziestolecia międzywojennego poeta spędził w Warszawie. Publikował w "Szpilkach" i "Cyruliku Warszawskim". Był kierownikiem literackim warszawskich kabaretów: "Qui pro Quo" (1919-1932), "Banda" (1932-34).

W czasie II wojny światowej Julian Tuwim przebywał w Rumunii, potem we Francji, Portugalii i Brazylii. Od 1942 roku mieszkał w Nowym Jorku. Do Polski wrócił w 1946 roku. W latach 1947-1950 był kierownikiem artystycznym Teatru Nowego w Łodzi. W roku 1949 otrzymał nagrodę literacką miasta Łodzi oraz doktorat honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego, w 1951 roku - nagrodę państwową.

Julian Tuwim zmarł 27 grudnia 1953 roku w Zakopanem.

Do krytyków

A w maju
Zwykłem jeździć, szanowni panowie,
Na przedniej platformie tramwaju!
Miasto na wskroś mnie przeszywa!
Co się tam dzieje w mej głowie:
Pędy, zapędy, ognie, ogniwa,
Wesoło w czubie i w piętach,
A najweselej na skrętach!
Na skrętach - koliście
Zagarniam zachwytem ramienia,
A drzewa w porywie natchnienia
Szaleją wiosenną wonią,
Z radości pęka pąkowie,
Ulice na alarm dzwonią,
Maju, maju! - -
Tak to jadę na przedniej platformie tramwaju,
Wielce szanowni panowie!...

Chrystus miasta

Tańczyli na moście,
Tańczyli noc całą.

Zbiry, katy, wyrzutki,
Wisielce, prostytutki,
Syfilitycy, nozownicy,
Łotry, złodzieje, chłacze wódki.

Tańczyli na moście,
Tańczyli do rana.

Żebracy, ładacznicze,
Wariaci, chytre szpicle,
Tańczyły tan ulice,
Latarnie, szubienice,
Hycle.

Tańczyli na moście
Dostojni goście:
Psubraty!

Starcy rozpustni, stręczyciele,
Wstydlivi samogwałciciele,
Wzięli się za ręce,
Przytupywali,
Grały harmonie, harmoniki,
Do świtu grali,
Tańczyli swój taniec dziki:
Dalej, Dalej!
Żarli. Pili. Tańczyli.

A był jeden obcy,
Był jeden nieznanym,
Patrzyli nań spode łba,
Ramionami wrzuszali,
Spluwali.

Wzięli go na stronę:
Mówili, mówili, pytali.
Milczał.

Podszedł Rudy, czerwony:
— Coś za jeden?
Milczał.

Podszedł drugi, bez nosa,
Krościasty:
— Coś za jeden?
Milczał.

Podszedł pijus, wycedził:
— Coś za jeden?
Milczał.

Podeszła Magdalena:
Poznała, powiedziała...
Płakał...

Ucichło. Coś szeptali.
Na ziemię padli. Płakali.

Do prostego człowieka

Gdy znów do murów klajstrem świeżym
Przylepiać zaczną obwieszczenia,
Gdy „do ludności”, „do żołnierzy”
Na alarm czarny druk uderzy
I byle drab, i byle szczeniak
W odwieczne kłamstwo ich uwierzy,
Że trzeba iść i z armat walić,
Mordować, grabić, truć i palić;
Gdy zaczną na tysięczną modłę
Ojczyznę szarpać deklinacją
I ludzić kolorowym godłem,
I judzić "historyczną racją",
O piędzi, chwale i rubieży,
O ojcach, dziadach i sztandarach,
O bohaterach i ofiarach;
Gdy wyjdzie biskup, pastor, rabin
Pobłogosławić twój karabin,
Bo mu sam Pan Bóg szepnął z nieba,
Że za ojczyznę - bić się trzeba;
Kiedy rozścierwi się, rozchami
Wrzask liter pierwszych stron dzienników,
A stado dzikich bab - kwiatami
Obrzucać zacznie "żołnierzyków". -
- O, przyjacielu nieuczony,
Mój bliźni z tej czy innej ziemi!
Wiedz, że na trwogę biją w dzwony
Króle z pannami brzuchatemi;
Wiedz, że to bujda, granda zwykła,
Gdy ci wołają: „Broń na ramię!”,

Że im gdzieś nafta z ziemi sikła
I obrodziła dolarami;
Że coś im w bankach nie sztytuje,
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
Rźnij karabinem w bruk ulicy!
Twoja jest krew, a ich jest nafta!
I od stolicy do stolicy
Zawołaj broniąc swej krwawicy:
„Bujac - to my, panowie szlachta!”

Karta z dziejów ludzkości

Spotkali się w święto o piątej przed kinem
Miejscowa idiotka z tutejszym kretynem.

Tutejsza idiotko! — rzekł kretyn miejscowy —
Czy pragniesz pójść ze mną na film przebojowy?

Miejscowa kretynka odrzekła — Z ochotą,
Albowiem cię kocham, tutejszy idioto.

Więc kretyn miejscowy uśmiechnął się słodko
I poszedł do kina z tutejszą idiotką.

Na miłym macaniu spłynęła godzinka
I była szczęśliwa miejscowa kretynka.

Aż wreszcie szepnęła: — kretynie tutejszy!
Ten film, mam wrażenie, jest coraz nudniejszy.

Więc poszli na sznyceł, na melbe, na winko,
Miejscowy idiota z tutejszą kretynką.

Następnie się zwarli w uścisku zmysłowym
Tutejsza idiotka z kretynem miejscowym.

W ten sposób dorobią się córki lub syna:
Idioty, idiotki, kretynki, kretyna.

By znowu się mogli spotykać przed kinem
Tutejsza idiotka z miejscowym kretynem.

...Et arceo

Odi profanum vulgus. Kościół czy kawiarnia,
Republika czy kino, wiec szewców czy armia,
Naród, gmina, rodzina, uczelnia, czytelnia —
Wszystko chaos i zgroza, i pustka śmiertelna.

I w tym hucznym stuleciu tyrańskiej wspólnoty,
Śród głupich wielkorządców i tępej hołoty,
Gdzie patos lwi rozdyma mrówczą krzątaninę,
Gromadząc ludzkość w nudną, mieszczańską
rodzinę,

Gdzie pustego kościoła krzykliwi papieże
Na gruzach Babilonu — babilońskie wieże
Wznoszą pośród szwargotu wyszczekanych maszyn,
A chciwa czerń szpieguje samotność serc naszych,
W tym wieku rozjątrzonem, wydętym, okrutnym —
Przechodzę, mijam, milczę: obcy, zimny, smutny.

Sitowie

Wonna mięta nad wodą pachniała,
Kołysały się kępki sitowia,
Brzask różowiał i woda wiała,
Wiew sitowie i miętę owiał.

Nie wiedziałem wtedy, że te zioła
Będą w wierszach słowami po latach
I że kwiaty z daleka po imieniu przywołam
Zamiast leżeć zwyczajnie nad wodą na kwiatkach.

Nie wiedziałem, że się będę tak męczył,
Słów szukając dla żywego świata,

Nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
To potem trzeba cierpieć długie lata.

Wiedziałem tylko, że w sitowiu
Są prężne wiotkie i długie włókienka,
Że z nich splotę siatkę leciutką i cienką,
Którą nic nie będę łowił.

Boże dobry moich lat chłopięcych,
Moich jasnych świtów Boże święty!
Czy już w życiu nie będzie więcej
Pachnącej nad stawem mięty?

Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
Będę słowa wrywał w rozpacz,
I sitowia, sitowia zwyczajnego
Nigdy już zwyczajnie nie zobaczę?

Rzecz Czarnoleska

Rzecz Czarnoleska — przyplýwa, otacza,
Nawiedzonego niepokoi dziwem.
Słowo się z wolna w brzmieniu przeistacza,
Staje się tem prawdziwym.

Z chaosu ład się tworzy. Ład, konieczność,
Jedność chwili, gdy bezmiar tworzywa
Sam się układa w swoją ostateczność
I woła, jak się nazywa.

Głuchy nierozum, ciemny sens człowieczy
Oстрыm promieniem na wskroś prześwietlony,
Oddechem wielkiej Czarnoleskiej Rzeczy
Zbudzony i wyzwolony.

Zieleń. Fantazja słowotwórcza (fragmenty)
(...) Nie dość słowo z widzenia znać. Trzeba
Wiedzieć, jaka wydała je gleba,
Jak załęgło się, rośło, pęczniało,
Nie — jak dźwięczy, ale jak dźwięczniało,
Nie — jak brzmi, ale jakim nabrzmieniem
Dojrzewało, zanim się imieniem,
Czyli nazwą, wyrazem, rozpekło.
W dziejach wzrostu słowa — jego piękno. (...)

Nie wydziwiał i nie bierz mi za złe,
Że w podśłowia tego świata wlażłem,
Że się ziaren i źródeł dowiercam,
Że pobożny jestem Słowowierca,
Że po mojej ojczyźnie-polszczyźnie
Z różdżką chodzę, wiedzący, gdzie bryźnie
Strumień prawdy żywiący i żyzny
Z mojej pięknej ojczyzny-polszczyzny. (...)

Jak Bolesław Leśmian napisałby wierszyk „Wlaż kotek na płotek”

Na płot, co własnym swoim płoctwem przerażony,
Wyziorne szczyrzy dziury w sen o niedopłocie,
Kot, kocurzak miauczurny, wlażł w psocie-łakocie
I podwójnym niekotem ściga cień zielony.

A ty płotem, kociugo, chwiej,

A ty kotem, płociugo, hej!

Bezślepia, których nie ma, mrużąc w nieistowia
Wikłające się w płatwie śpiewnego mruczywa,
Dziewczynę-rozbiodrzynę pod pierzynę wzywa
Na bezdosyt całunków i mękę ustowia.

A ty płotem, kociugo, chwiej,

A ty kotem, płociugo, hej!

Słopiewnie

Karolowi Szymanowskiemu

2. SŁOWISIEŃ

W białodrzewiu jaśnie dźni słoneczko,
Miodzie złoci białopałem żyśnie,
Drzewia pełni pszczelą i pasieczną,
A przez liście kraśnie pęk słowisnie.

A gdy sierpiec na niebłoczcu łyście,
W cieniu ciemnie jeno niedośpiwcy
W białodrzewiu ćwirnie i srebliście
Słowik słowi słowisienkie ciewy.

5. O MOWIE ROSYJSKIEJ

Tiewnaja piewunnica
Miłoj ni raduny!
Zwonestie, zagoriste
Swietoładi struny!

Wjarkoti zurczałowo,
Wjunica płaczewna,
Grustiwie pieczałowo
Tiewnaja słopiewna

Tomaszów

A może byśmy tak najmilsza,
wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmierzchem złotym
ta sama cisza trwa wrześniowa...

W tym białym domu, w tym pokoju
gdzie cudze meble postawiono,
musimy skończyć naszą dawną
rozmowę, smutnie nie skończoną.

Więc może byśmy tak, najmiłsza,
wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmiierzchem złotym
ta sama cisza trwa wrześnieowa...

Jeszcze mi tylko z oczu jasnych
spływa do warg kropelka słońca,
a ty mi nic nie odpowiadasz
i jesz zielone winogrona.

Ten biały dom, ten pokój martwy
do dziś się dziwi, nie rozumie...
Wstawili ludzie cudze meble
i wychodzili stąd w zadumie.

A przecież wszystko tam zostało!
Nawet ta cisza trwa wrześnieowa...
Więc może byśmy tak, najmiłsza,
wpadli na dzień do Tomaszowa?

Jeszcze ci wciąż spojrzeniem śpiewam:
Du holde Kunst... - i serce pęka!
I muszę jechać... więc mnie żegnasz,
lecz nie drży w dłoni mej twa ręka.

I wyjechałem, zostawiłem,
jak sen urwała się rozmowa.
Błogosławiłem, przeklinałem:
Du holde Kunst! Więc tak? Bez słowa?

A może byśmy tak, najmiłsza,
wpadli na dzień do Tomaszowa?
Może tam jeszcze zmiierzchem złotym
ta sama cisza trwa wrześnieowa.

Wspomnienie

Mimozami jesień się zaczyna,
złotawa, krucha i miła,
To ty, to ty jesteś ta dziewczyna,
która do mnie na ulicę wychodziła.

Od twoich listów pachniało w sieni,
gdym wracał zdyszany ze szkoły,
a po ulicach w lekkiej jesieni
fruwały za mną jasne anioły.

Mimoza mi zwiędłość przypomina
nieśmiertelnik żółty — październik.
To ty, to ty, moja jedyna,
przychodziłaś wieczorem do cukierni.

Z przemodlenia, z przeomdlenia senny,
w parku płakałem szeptanymi słowy.
Księżyc z chmurek prześwitywał jesienny,
od mimozy złotej majowy.

Ach czułymi, przemiłymi snami
zasypiałem z nim gasnącym o poranku,
w snach dawnymi bawiąc się wiosnami,
jak ta złota, jak ta wonna wiązanka.

Chrystusie...

Jeszcze się kiedyś rozsmucę,
Jeszcze do Ciebie powrócę,
Chrystusie...

Jeszcze tak strasznie zapłaczę,
Że przez łzy Ciebie zobaczę,
Chrystusie...

I taką wielką żalobą
Będę się żalił przed Tobą,
Chrystusie...

Że duch mój przed Tobą klęknie
I wtedy serce mi pęknie,
Chrystusie...

(Zmęczony burz szaleństwem, jak statek pijany...)

Zmęczony burz szaleństwem, jak statek pijany,
Już niczego nie pragnę, jeno wielkiej ciszy
I kogoś, kto zrozumie mój żal nienazwany,
Kogoś, kto mą bezsłowną tęsknotę usłyszy;

Kogoś, kto jasną duszą życie mi przepoi,
Iżbym w spokoju bożym wypoczął po męce,
Kogoś, kto rozszalałe serce uspokoi,
Kładąc na moje oczy miłosierne ręce.

Idę po szczęście swoje. Po ciszę. Do kogo?
Którędy? Ach, jak ślepiec! Zwyczajnie - przed
siebie.

I wiem, że zawsze trafię, którą pójde drogą,
Bo wszystkie moje drogi prowadzą do Ciebie.